



REDAGOWANE PRZEZ UCZNIÓW PAŃSTWOWEGO GIMNAZJUM
ZE WSPÓŁDZIAŁEM UCZENIC PAŃSTWOWEGO SEMINARJUM.

Minęło dziesięć lat od ukazania się pierwszych numerów „Spójni”. Powołana do życia przez czynniejsze jednostki, pragnęła być wyrazem życia, rozwoju duchowego i dążeń tutejszej młodzieży. Jednak rozwój „Spójni” tak pięknie się zapowiadający został z błahych powodów przerwany. Dopiero na skutek rozbudzenia się życia umysłowego wśród młodzieży w ostatnich latach, została „Spójnia” na nowo powołana do życia w roku zeszłym, by dalej, dawniej podjęte dzieło prowadzić. Wierzymy, że zacząwszy redagowanie naszego pisemka w jedynastym roku jego istnienia, rozpoczynamy pracę na długie lata i z wiarą w dobre skutki przystępujemy zamiary wprowadzić w czyn.

„Nie przegra, kto frymarczy na sławę żywotem,
Ażeby go dał lepiej w cieniu darmo potem?”
(refleksje).

Krótkie jest życie człowieka, a pamiątką jego wędrówki są jego czyny. Mijają lata i wieki całe, zmieniają się narody i państwa, ale pamięć o ludziach trwa nieprzerwanie, przechodząc

z pokolenia na pokolenie. Sława opromienia te duchy jasne, są one drogowskazami dla potomnych, którzy ich czyny naśladowają. Dopóki ludzkość nie zniknie z powierzchni ziemi, dopóty imiona ludzi sławnych będą na ustach i w sercach wszystkich. Są to bohaterowie, których duch wystrzelił ponad ziemię, aby stać się przykładem dobrego i sławnego życia.

Bóg, stwarzając człowieka, dał mu duszę nieśmiertelną, i jego celem jest ustawiczne dążenie do doskonałości. Duch doskonały dąży do czynów dobrych i szlachetnych nie dla własnego zysku ani sławy, ale dla dobra ogółu, a te właśnie wysiłki zapewniają mu dobrą sławę.

Na różnych polach można osiągnąć dobrą sławę: uczeni, poeci, malarze, rzeźbiarze, wielcy władcy i zwycięscy wodzowie opromienili imiona swoje wieńcem nieśmiertelności, ale największą jest sława człowieka, który w obronie wolności i ojczyzny poświęca najdroższy skarb swój, swoje życie. Ale „nie przegra kto frymarczy na sławę żywotem” — nie przegra, bo imię żyć będzie wiecznie, nie przegra, bo śmiercią swoją uratuje ojczyznę i wolność, bo mogiła jego stanie się kopcem granicznym, poza który noga nieprzyjaciela nie przejdzie, nie przegra, bo duch jego zbudzi naród do czynu.

„Jak słodko i chlubnie umierać za ojczyznę — ode mnie się ucz” — złotymi zgłoskami wyryte słowa na pomniku bohatera z pod Cecory w kościele żółkiewskim, uczą, że dobrze zasłużył się ojczyźnie ten, który za nią żywot położył, tak głęboko w serca wryć się muszą jego słowa, które napisał podczas wyprawy cecorskiej. „Życzę sobie, abym mógł położyć życie za wiarę i ojczyznę.” Bo dla tego osiwiiałego w bojach bohatera najmiłszą śmiercią, była śmierć na polu chwały. Śmierć ta zapewniła mu imię sławne po wszystkie czasy. Nie przegrał „choć frymarczył żywotem”, nie przegrał, bo śmiercią swoją pobudził naród do czynu i uzbroił skrzydlate zastępy rycerstwa, które pod Chocimem pod wodzą Chodkiewicza starły wroga ojczyzny i krzyża — nie przegrał, bo z kości jego powstał mściciel, który pod Wiedniem złamał potęgę turecką, a imię Polski rozślawił tam, gdzie dzwony wzywają wiernych na modlitwę.

M. Pisarczykówna.

„Jaką wyniosłam korzyść z dotychczasowej praktyki pedagogicznej — pod względem psychologicznym, oraz dydaktyczno - pedagogicznym”.

„Żniwo wielkie, ale robotników mało”. Istotnie wielkie niwy leżą przed nami odłogiem, lecz często brak nam odpowiednio przygotowanych sił nauczycielskich. My — obywatelki wolnej Polski, kiedy staniemy na swoich placówkach, pracujmy z poświęceniem dla Tej, dla której zginęło tylu braci naszych. Niech nas w tej pracy wspiera i prowadzi miłość wszystkiego co „górne i chmurne”, cierpliwość i męstwo. Mamy przed sobą lud ciemny, któremu musimy dać oświaty kaganiec, by mógł przez życie iść o własnej sile. Mamy przed sobą to dziecko robotnicze, pogrążone w nędzy fizycznej i moralnej, któremu trzeba dać książkę do wyciągniętej dłoni. Biegnijmy na najdalsze zakątki ziemi naszej; nie zrażajmy się tysiącznemi przeciwnościami, gdy przyjdzie nam walczyć ciężko z warunkami życia, z otoczeniem i ze złą wolą tych, dla których pracę naszą niesiemy. Nauczyciel winien działać pewnie, z rozwagą, z głębokim poczuciem odpowiedzialności za każdy najdrobniejszy czyn. Winien być do pracy odpowiednio przygotowany. Musi więc poznać psychologję dziecka, jego właściwości duchowe jako też i fizyczne, by mógł niem odpowiednio kierować. Dobry nauczyciel winien też znać zasady nauczania i wychowania. W tym też celu uczymy się psychologii, pedologii, metodyki, czytamy lekturę pedagogiczną, lecz stokrotnie większą korzyść otrzymujemy z praktyki pedagogicznej. Przez zbliżenie się do dzieci, przez zetknięcie się z niemi — lepiej je poznajemy, a przez to możemy na nie o wiele korzystniej oddziaływać.

Przechodzę do odpowiedzi na pytanie: jaką korzyść odniosłam z dotychczasowej praktyki pedagogicznej pod względem psychologicznym. Dziecko przede wszystkim musi znaleźć ujście dla wypowiedzenia się. Dlatego też trzeba dziecku podawać materiał z okresu jego życia, a więc z życia rodzinnego, oraz jego najbliższego otoczenia. Następnie podawać go dziecku w formie zabaw, gier, zajęć. Uczyć dzieci rzeczy, leżących w sferze jego zainteresowań, dostępnych umysłowości jego. Treść nauki powinna stać w ścisłym związku z myślą dziecka i z jego przeżyciami duchowymi. Starać się, by wrażenia dostawały się do świadomości dziecka za pośrednictwem wszyst-

kich zmysłów, a wtedy będą jaśniejsze, dokładniejsze i trwalsze. Dziecko przyswoi sobie tylko wówczas pojęcia gruntowne, jeśli wrażenia zjawisk świata zewnętrznego nie tylko zmysłem wzroku i słuchu przenikają do świadomości, ale jeśli je także innymi zmysłami ujmuje. Tylko te pojęcia będą własnością psychiki dziecka, które całą swą osobowością przeżyło, przy zdobyciu których różnorodne funkcje psychiczne zostały pobudzone. Dzieci mają wielki pociąg do zajęć ręcznych, i praca ta wywiera dodatni wpływ na ogólny rozwój duchowy dziecka. Trzeba się liczyć z zainteresowaniem dziecka, z uwagą jego, które jest zmienna, krótkotrwała.

Nauczyciel powinien używać względem uczniów takiej metody, przy której uczniowie byliby czynnymi, a praca ich ujawnić się mogła nie tylko w formie pamięciowego opanowania materiału, ale także i w działaniu, w czynie, w tworzeniu. Używać metody „szkoły pracy,” która sprzyja ciąglemu doskonaleniu się indywidualności dziecka. Samodzielne, produktywne działanie dziecka jest dominującym czynnikiem wychowawczym. Starać się, by dziecko zawsze było czynne; by cała jego psychika, zarówno jej strona intelektualna jak i wola — zdolność do działania, do czynu rozwijać się mogły.

Wychowankowie winni zdobywać wiedzę nie za pośrednictwem książki jedynie, czy też drogą wykładu, ale przede wszystkim drogą własnego poświadczenia; obserwacji, przez bezpośrednie zetknięcie się z różnorodnymi objawami życia, ze zjawiskami przyrody, a wtedy odniosą wielkie korzyści. Trzeba koniecznie, by mogli się uczyć w polu i w ogrodzie, w lesie i na łące. „Nauczyciel jest tylko pomocnikiem, jest człowiekiem, który uprzyściplnia naukę, nie zaś ją podaje i wyklada, a sztuka nauczania polega na umiejętności stwarzania takich warunków i takich pobudek, dzięki którym dzieci mogły uczyć się i poznawać” — powiedział Lucjan Zarzecki w swoim dziele p. t. „Dydaktyka ogólna.” Najlepiej jest, by uczniowie dochodzili do poznania rzeczy i zjawisk pracą samodzielną. Już na stopniu elementarnym winien wychowawca przyzwyczajać je do badania prostych zjawisk natury. Według Trentowskiego najdłużej zatrzymujemy to w pamięci, czego nauczyliśmy się sami przez się i co nas wiele kosztowało.

Nauczanie jest jednym z najważniejszych czynników wychowania, a wychowanie ma na celu przygotować do życia, uczy-

nić człowieka o jasnym na świat poglądzie, o sercu szlachetnym i prawym charakterze. Pięknie mówi, co to jest wychowanie, w swej "Chowanie" Bronisł. Trentowski: „Wychowanie jest, że tak powiem, wiosennem ludzkości tchnieniem, owiewającym zlekką i miłą młodemu człowiekowi, jest wodą ogrodnika, rosą krzepiącą kwiat i lejącego w niego cudowną siłę wzrostu. Dobre wychowanie jest blaskiem tęczy bóstwa naszego, rokującym nam pogodne życie.” Szkoła winna dać wychowankowi warunki rozwoju fizycznego i duchowego, winna stworzyć podstawę, na której rozwinie się charakter człowieka.”

Ideą wychowania jest człowiek zdolny do czynu, do pracy twórczej. Nauczyciel, chcąc dobrze dzieci wychować, winien sobie je zjednać i ukochać. Wtedy stanie się miłym i kochanym i godnym zaufania u dzieci, mówi Grzegorz Piramowicz w dziele „Powinności nauczyciela,” gdy: „Okazywać im będzie, nietylko w słowach i oświadczeniach, ale bardziej w postępowaniu swoim szczerą ku nim miłość, serce ojcowskie, troskliwość o ich dobro, kiedy w ich potrzebach, smutkach, chorobie okaże litość, pocieszać, nawiedzać... W całym swoim życiu i obcowaniu dobry przykład pobożności, uczciwości, trzeźwości i czystości dawać dzieciom winien, gdyż: „słowa uczą, a przykłady porywają”.

Duch szkoły zależy od nauczyciela. Tylko ten wychowawca spełni sumiennie swoje zadanie, który będzie ustawicznie nad sobą pracował, gdyż szkoła nie zdoła go żadną miarą wyposarzyć w całkiem zupełne wykształcenie; może ona założyć tylko fundament wiedzy, wskazać drogi do dalszego kształcenia i udoskonalenia się. I ten tylko nauczyciel zapewnić zdoła rozwój szkole nowoczesnej, który posiada szersze horyzonty umysłowe, wiedzę głębszą, umożliwiającą mu zrozumienie problemów kultury epoki nowoczesnej. Szkoła polska o tyle wywiąże się ze swego zaudania, o ile kierować nią będą ludzie świadomi swego celu i środków do osiągnięcia wiodących.

Stadnikówna Michalina.

WESELE CHŁOPSKIE. (w gwarze).

Zaręczyny.

Wiecór w cwortek przysły ze swatami do Wereniś Cholewińsconki dwa kawaliry: Lipiec, co go Wspaniałą Kapustą przezywali i Zięba Jasiek.

Wereniś Wspaniały Kapusty nie chciała. — Pocałowała ojców w rękę i wszystkich w kolij i powiedziała: „Jo za Lipca nie pódę, ino za Ziębę. Swaty Lipca zabrały sie i posły, a swacino zaparła drzwi plecami i powiedziała, ze ona i tak za tego kawalira (t. j. Ziębe) nie pódzie.

Ale niht na ji godanie nie uwozoł. Winc Ziembowo swacino, pyto sie: „Cy nos przyjnieta na noclig”? A ociec Wereniś godo: „Dlocego nie? Bardzośwa rade.” „Słyseliśwa, ze mota jałoweckę na sprzedanie. Przyśliśwa jo wytargować” — godo dali swacino. Teraz Jasiek postawił na stole flaske wódki, ubrano siwą stążką i różowymi kwiateckami. Wereniś posła do stołu odpiena stążke i dała kieliska. Najprzód una piła ze swoim kawalirem, potym z ojcami, a potym to juz wszyscy w kolij. Sprosili wszystkich sąsiadów i znajomych — sodzali ich za stołem kozali pić. Potym przyprowadzili muzykanta i bawili się do północka abo dali. W sobote rano przysed Jasiek, przyniósł wódki — wypili, potym zajechała furmanka jego i pojechali do Glinion do pocirza.

Wesele.

W niedziele na wiecór miało być wesele. W sobote wiecór poschodziły się druhny i druzby i starościne do Wereniś upliść ji wionek do ślubu. Panno młodo pocęstowała ich wódką, przyina kolacjom. A potym wybrali starsą druhnę, a za starszego druzbę Stacha. Starsy druzba wystarał sie o chojocka, chtóry miał siedym odnóg, a druchny przyniesły barwinku i gęsich piór. Nawet wten-cos to Wicek ze Stachym złapały Symkowy gęś i cało oskubały:—wszystek puch wydarły, nicponie! Kiedy wszystko było juz nago-towane, wiły różgę cyli wionek; bo to i tak nazywali. Zaczynała wić starszo druhna od środka, starościne ji pomagały, podajały barwinek z pirzami i śpiwały z nio:

Mój wionecku z barwinecku—siwałam cie w ogródeczku,
Siwałam cie po dwie grzędzie, któz cie teraz siwoł będzie?

Ostała sie młodso siostra, jesce rokiem nie dorosła.

Mój wionecku z bioly rózy, posluz - ze mi jak najdlyzy.

Jak sie zjadą tak uradzą, za kogóz cie Wereniś dadzą?
Dadzą, dadzą za jednego, za Jasienia nadobnego.

Cyś sie Wereniś nie spodziała, ześ se rutki nie zasiała?
Zasiołam ji staje dwoje, wyjadły mi kunie twoje.

Pasym, pasym, nawrocołem, twoji rutki nie widziołem.

Jak już miała różgę to wzięła ją do góry i śpiewała:

O wzięłam se różgę, będę miała družbę.

Starościny złapały te różgę, weszły do kumory, zamknęły się i śpiewały:

„Dopiero nam się ładno różga uzięła!

Jeszcze naso starościno gorzołki nie piła.”

Starszy družba flaską wódki wykupywał wionek. Flaska ubrana była wąską siwą stążeczką i barwinkiem. Na taki podarunek odśpiewały im starościny:

„Jeszcze nasza różga rozzięła,

Bo jeszcze nasza starościna gorzaleckę wypięła.”

Teraz starościny przyniosły siedem jabłek cerwiniutkich i nasadziła na te siedem odnóg te różgi; postawiły wionek na stole i czekały pana młodego, z muzykantami i bębenistą. Kiedy przyszedł — starościny znowu mu śpiewały, a potem wszystkie tańcowały do rana.

Na śniadanie była wódka smazono, boszer z kapustą, i z chlebem, kasa tatarcano ze słoniną, nałostatku mięsa i prostej wódki kielisek. Po śniadaniu wybierali się wszyscy do ślubu.

Werenś w kumory stroiła się, starościny rozplatały jej warokce i śpiewały:

Na rozpleciny nima dziewczyny,

Trzebaby jej posukać,

A Weryńcia po wsi bieży,

A grzebycek w sofce leży.

Zawołajcie matki moi,

Niechże ona przy mnie stoi

Niechże jej się serce kraje,

Ze mnie młodo za mąż daje.

Będzie jej dziękowała,

Ze mnie pięknie wychowała.

Teraz włożyli Werenś strojnik na głowę. To była taka obręcka z drzewa, jak mo sitko, owinięto białym płótnem. Na płótnie przysyte były stążki różnego gatunku (może z pietności albo wincy). Na wirzchu była przysyta różowo stążka syroko, ułożono w falbanki, a z pod niej widać było złoty sych. Suknie miała białe i chustki corno barankowo, bo zimno było.

Wysła z kumory podjina starościny pod nogi. — Ony jej pokropiły świnconą wodą i pobłogosławiły — a potem śpiewały.

A juzem sie moi ludzie wybrała,
A jesce jo od swoi mamusi i swojego tatusia
błogosławieństwa nie dostała.

A juzem sie moi ludzie wybrała,
A jesce jo od swoi siostrzycki i swojego braciska
błogosławieństwa nie dostała.

Oj, bez progi nadobno Weryńciu, bez progi,
A uchwyc swojego tatusia i swoją mamusię, i swojego
braciska i swoją siostrzycke pod nogi.

Oj, bez progi nadobno Weryńciu, bez progi,
A uchytajze wszystkich ludzi pod nogi.

A jak juz wszystkich pozegnała, dostała błogosławieństwo
od ojców, siadła na wóz przy śpiwie starościn:

Oj wyjizdzaj, wyjizdzaj! „Josce nie zaprzysięgom!

O tylko sie na ciebie Wereniś oglądom.”

O, siadoj Wereniś na wóz, warkocyk se załóż,

Oj będą ludzie mówić, ze ty idzies za móż.

Oj wyjizdzom Jasińku z podwórzo mojego,

Oj bo jo godno jesce, jesce łanijsego.

W Glinianach był kościół. Jak jechali przez Gliniany to
śpiwali Gliniakom:

A bez błonie, potocko druzyno, bez błonie,

A wywalają Glinianecki bałonie.

A Józek Pąnikoski im odśpiwoł:

O zwolały kunie dysel, zwolały,

A będą go potockie panny lizały.

Ale Potocoki nie dały sie; druchny zacyny śpiwać dali:

Nase proso oganiamy, wase ptaki piją,

Potocanki za mąż idą, Glinianecki wyją.

Nase proso oganiamy, wase ptaki jedzą,

Potocanki za mąż idą, Glinianecki siedzą.

Tak przyjechały do kościoła. Jak im ksiądz ślub dawoł, to
starse druzby trzymały te różge za niemi przy ołtarzu. Po ślubie
ksiądz wzięń te różge, poświęcił — zdymnął z ni wszystkie japka.
Jedno doł państwu młodym, a drugie starszym druzbom, a pińc
wzion sobie. Starościne napirwyk wysły z kościoła, stanyły pod
bramą i zacyny śpiwać:

A gdziez nom sie nasa panna mlodo podziała?

A w kościele za ołtarzem została.

A trzebaby nam pana organisty poprosić,

A zeby nam panne młodą z zo ołtarza wyprosił.
 A wykręćze sie starsy druzba dokoła,
 A wyprowadźze nase panne młodą z kościoła,
 A wykręćze sie starsy druzba na koniu,
 A zaprowadźze nase panne młodą do domu.

Muzyka grała te samą melodje. Zaros podjizdzała brycka, państwo młodzi siedli i pojechali do ratusa. Tam się napili gorzałki, potańcowali i wybiralili się do domu. Najpirw wychodziły starościne i wywoływały wszystkich z ratusa:

„A proś ludzi, nadobno Weryńciu, proś ludzi,
 A niechze sie twoje wesele po tych Glinianach nie trudzi.”

Panna młodo posła do ratusa, chytała wszystkich w kolij pod nogi i prosiła do domu, a starościne śpiwały:

A wychoćta gospodynie	A wychoćta gospodarze,
Wyjadły wom marchew świnię	Wyjadły wom świnię zboże
A wyjadły wykopały	A wyjadły, wryły,
Cóz bedzieta gotowały?	Cóz bedzieta młóciły.

W domu witali rodzice państwa młodych chlebem i solą, i rzucali na nich ziarnami, zeby im sie rodiło. Panu młodymu dajali chlib, no—bo un wincy ji, wytrwalsy jest — to mu trzeba dać gorzy jeść. Panna młodo dostała placek — bo ji trzeba lepi dajać jeść.

Teroz wszyscy śli za stół na obiod. Starościne przezegnały go:
 W Imie Ojca i Syna Nie zostanie mi ksyna (kruszyna).

Zjimy go, zjimy go.

Podawały na stół gospodynie. Dali kapuste z grochym, flaki, mięso i wódkę. A przy objadzie to druzby docinały druchnom.

Siedzi zajacek bieluchny	Jak sie druchny, dowiedzą,
Kiwo ogunkiem na druchny.	To mu ogunek ujedzą.

A druchny nie dały sie.

Starsy druzba nieraźny, nieraźny,

Bo druchynki za stolikiem zamarzły, zamarzły,

A po obiedzie były ocepiny. Starościne śpiwały:

Starsy druzbo marsołek,	A o stołek o ładny,
Starojze sie o stołek,	Dla Wereniś nadobny.

Stach zaros skocyl, przyniós z kumory dziskę od chleba, nakrył biolą serwetą i zacun naokoło ty dziski tańcować z panną młodą. W tącu musiol jo posadzić, a Weryńcia nie chciała wcale siadać. Az starościne jo zaprasają:

Juz słonecko za górami,	Siadoj z nami sąsiadami,
Moja Wereniś siadoj z nami,	Bedzies sobie, tak jak pani.

Posadziły jo na dzisce, zacyny ji warkoc rozplatać i śpiwać;
 „Zawołojcie matki moi, Mamusia mnie rozplatała,
 Niechze ona przy mnie stoi; Warkocyka nie targała.”

Jak ji warkoc ucini, to ji włożyli cypek na głowe. Był on zrobiony z bioły chustki, obsyty tiulym. A teroz starościne dopominały sie o wiano dlo panny młody:

Zawołojcie matki moi,	Zawołojcie brata mego,
Bede jo ji dziękować,	Bede jo mu dziękować,
Posła do kumory, podusecki stroi,	Posed do obory wioze dwa woły,
Bo mie myśli wianować.	Bo mi myśli darować.
Zawołojcie ojca mego,	Zawołojcie siostry moi,
Bede jo mu dziękować,	Bede jo ji dziękować,
Posed do ubory, wiążestyrykrowy,	Posły na góre, zdymuje mi kure,
Bo mie myśli wianować.	Bo mi myśli dorować.

Wereniś ładnie było w cypku. Starościne nie mogo sie wydziwic:

Oj idźze do ogródka, przerzij sie w makówce,
 Jak ci Weryńciu ładnie w cypecku na główce,
 O idźze do ogródka, przerzij sie w zimioku,
 O jak ci to nie ładnie w takim brzydoku.

A późni to juz śpiwały i śpiwały — całą noc ale przedtem musiała im panno młodo gorzałki dać:

Wylecioł ptosek z groba, juz je Weryńcia baba.
 Nasa Weryńcia nasa, pochnie gorzały flasa,
 Dopóty jo nie puścimy, az gorzałki wypijimy.

Panna młodo teroz juz mogła tańcować, a starościne śpiwały chmiela:

O chmielu, chmielu, na tobie goła,
 Zaprowadźze nas, kaj je gorzoła,
 O chmielu, o niboze, co na dół to po górze,
 O chmilu nieboze.

O chmilu, chmilu na tobie rosa,
 A nie wtykaj do panien nosa. O chmielu, o nieboze i t. d.
 Zebyś ty chmielu na tycki nie los,
 Nie robiłbyś z panienek niewiost. O chmielu i t. d.

A potym do panny młody:

A zrobie jo moi matce uciechę, uciechę,
 A sygnę jo swój wioneczek pod strzeche, pod strzechę.
 A zrobie jo moi matce zabawe, zabawe,
 A sygne jo swój wioneczek pod ławe, pod ławe.
 Oj nie samam, nie samam kaline łamała,

Oj, przyniżoł mi Jasiu, a jo obrywała.
 Powiedziałaś Werynciu, ze Jasieńku bogoc,
 Pełno góra chodocysków, idź Weryńciu oboc
 Powiedziałaś Weryńciu ze un mo pałace,
 Oj nimo chałupiny ino podpirace.
 Powiedział Weryńciu, ze un je bogaty,
 A un nimo kapociny, ino same łaty

A potym śpiwały młodymu:

O jakzem sie ozynił, zacne gospodarzyć,
 O jo w polu pracować, una mi jeść warzyć.
 Siano grabiła, piosek wiązała,
 Po ty robocie tydzień lezała.
 O lezy, lezy bołą jo kości,
 Nie od roboty, ino od złości.

A już nad ranym zbirały ji wyprawę na nowe gospodarstwo.
 Trzeba ji dać, nie żałować!
 Trzeba ji dać na garnusek,
 Bo ji stłuce bebelusek.
 Trzeba ji dać na wszystko.

Dopiro teraz był pocęstunek, wódka i przekąska. A gdy już wszyscy się najedli, to tańcowali do rana. Na drugi dzień przychodziły sąsiady na poprawiny i tak bawili się do piątku. Goście zdaleka dopiro w piątek odjizdzali, a za nimi starościne śpiwały:

Juz się goście rozjizdzają,
 A z nami się nie zegnają.

Pamiętajcie, zeście nasi,
 A my przyjaciele wasi.

Tak się to bawili dawniejszymi casy.

Mazurka.

Harcerstwo a wychowanie.

„O ile polepszycie i powiększycie dusze Wasze, o tyle polepszycie prawa Wasze i powiększycie granice Wasze.” Mickiewicz.

Przyszłość państwową narodu warunkujemy od stopnia wykształcenia w nim pierwiastka kulturalnego i moralnego. Jeżeli krytycznym okiem spojrzymy w przeszłość i wnikiemy w jej ducha,

to zauważymy, że najważniejszą przyczyną upadku całego szeregu organizmów państwowych był zawsze zanik czynnego patriotyzmu. Wystarczy podać za przykład Cesarstwo Rzymskie, Rosję i Polskę, by się przekonać, że upadły one (wyłączywszy przyczyny natury politycznej) na skutek obniżenia się: moralności i poziomu mądrości obywatelskiej i wskutek wadliwego systemu wychowawczego młodzieży.

W dzisiejszych stosunkach wychowaniem młodego pokolenia, jako przyszłego czynnika potęgi państwa, zajmuje się rodzina i szkoła. Czy dzisiejsza, powojenna rodzina chwiejąca się pod uderzeniami fal demoralizacji jest w stanie oddać społeczeństwu jednostkę, urobioną pod każdym względem dodatnio, odpowiedzieć możemy z całą pewnością, że nie. Również i szkoła mimo, że przygotowuje do pewnego stopnia swych wychowanków życiowo, nie może tego w dobrym stopniu osiągnąć.

Stosunek ten szkoły do wychowania, da się jednak usprawiedliwić tem, że szkoła, mając do czynienia z masą, nie może się zająć skutecznie urobieniem jednostki. Prócz rodziny i szkoły wielki wpływ na młodzież wywierają także inne środowiska, które mogą wychowywać w kierunku dodatnim lub ujemnym. Zatem celem czynników głównych, wpływających na młodzież, winno być stworzenie młodzieży takiego środowiska w którymby mogła zadania, przez społeczeństwo zakreślone, wypełnić.

To trudne zagadnienie, po jakich torach należy pchnąć wychowanie nowego pokolenia, doskonale rozwiązuje harcerstwo.

Podstawą ideologii harcerstwa są następujące pewniki: „1) że jesteśmy dziećmi Jedyne Boga i że z synostwa naszego powinniśmy wyciągnąć wszystkie konsekwencje; 2) że życie całe oddać chcemy Ojczyźnie..... 3) że drogą do tego (do służby Ojczyźnie) otwierać musi moralne podniesienie jednostki... 4) że doskonalenie jednostki zmierzać ma do jej uspołecznienia.”

Głównem zadaniem pracy harcerskiej jest urobienie charakteru jednostki, a przez jednostkę podniesienie poziomu moralności w społeczeństwie. Harcerstwo podjęło wielką ideę Konarskiego: „Przez reformę wychowania, do potęgi Polski,” podjęło szczytne hasła młodzieży filomackiej i z wiarą wstępuje w szarego życia bój. Program swój wychowawczy realizuje Harcerstwo, opierając go na systemie zastępowym. Podstawą jest zastęp składający się z 6-8 chłopców, czy dziewcząt, pod odpowiedzialnym kierownictwem zastępowego. W zastępie nabywa chłopiec: „1) cha-

rakter i inteligencję, męskość i poczucie osobistej odpowiedzialności; 2) zręczność i pomyślność, zwłaszcza przy zdobywaniu sprawności harcerskich; 3) zdrowie i sprawność cielesną, czyli energię indywidualną, wytrzymałość, radość życia; 4) usłużność względem bliźnich, współdziałanie i dobrą wolę w stosunkach z innymi.”

Program harcerski nie jest oderwany od życia, on łączy się z żywotnymi dążeniami państwa i społeczeństwa on jest przejawem czynu. Przez czyn dąży Harcers'wo do wyrobienia nowego typu obywatela, wszechstronnie i harmonijnie wyrobionego, świadomego swych obowiązków.

W ciągu swego prawie 20-letniego istnienia zaświadczyło Harcerstwo, że naprawdę jest ruchem odrodzieńczym. Zaświadczyło ono wtedy, gdy Ojczyzna zagrożona od krwawego azjaty wołała pomocy, że wychowało młodzież zdolną krew przelać za Nią. „Niepodległość i chwała — mówi generał J. Haller — to był ten cel, który porywał i rozpalał dusze młodzieży harcerskiej. Dla tego celu hartować ducha i ciało, ćwiczyć wolę, pielęgnować cnoty i tym sposobem wyzwalać w człowieku najszczytniejsze wartości ludzkie — było zadaniem Harcerstwa. Że nie były tylko zabawką ćwiczenia, ani frazesem wzniosłe hasła — zaświadczyło Harcerstwo podczas wojny, mobilizując się pierwsze do walki i pomocy walczącym. Wodzowie i dowódcy zgodni są w stwierdzeniu wybitnych zalet harcerzy — żołnierzy. Szczególnie ostatnie miesiące walki z najazdem bolszewickim i udział Harcerstwa w Armji Ochotniczej przekonały społeczeństwo ponad wszelką wątpliwość o wielkiej narodowej wartości naszego ruchu.” Harcerstwo stoi na straży ducha narodowego Polski, b.

„...gdy Jej oczy błyskiem się rozpalą,
Kiedy Nią targnie moc, jak wichry drzewem,
Wtedy harcerskich serc dźwiękniemy stałą,
I takim wichry napełnimy śpiewem,
Aby z tej pieśni krwią wypła dzielność.
Szał burzy, grom, moc i nieśmiertelność.” E. C.

NAD NASZEM MORZEM.

(z wycieczki).

Okrzyk „morze widać!” zelektryzował wszystkich i pchnął ich w kierunku okien wagonu. Boć to każdy niemal miał ujrzeć poraz pierwszy morze — a do tego polskie, ojczyście.

A ono w dali siniało wśród oparów, co zaciemniały zlekka horyzont i było podobne do siwych mundurów swych wskrzesieli, którzy swoim męstwem przypomnieli światu o Polsce, że chce żyć rozwijać się i do rozwoju chce mieć wrócone morze. Niebo było zaciągnięte chmurami i tworzyło jakby dalszy ciąg tego morza. Na powietrzu nie było widać ani jednej nawet łódki rybackiej. Wtem — od strony Pucka wypłynął szary ptak stalowy i okrążywszy kawał swej dziedzizny napowrót spłynął na wodę. To polski hydroplan ćwiczył młodych obrońców polskiego morza. Potem zniknęło wszystko zakryte lasami — byliśmy już w Pucku.

Tego dnia jeszcze nastąpił wyjazd na Hel. Niebo wyjaśniło się zupełnie i słońce upiększało i tak piękny krajobraz. Pociąg biegnie wąskim pasem, który miejscami jest tak wąski, że widać z obu stron morze. Z prawej jest ono spokojne, podobne do wielkiego jeziora — to zatoka Pucka. Z lewej burzliwe fale raz wraz wpadają na piaszczysty brzeg — to Bałtyk. Wjeżdżamy w iglasty las dosyć mizerny, który przechodzi miejscami w karłowate krzaki.

W środku mniej więcej półwyspu wysiadamy i hajda nad morze Bałtyckie. Sypki piach, korzenie i krzaki minęliśmy w jednej chwili. Jeszcze jedna górka — i oto uderzył w nas szum, ogarnął silny wiatr — byliśmy nad morzem. A fala zielona raz wraz z szumem biegła na piach, cofała się — i tak ciągle. Całe morze żyło — ruszało się w takt wiatru, który gdzieś z dalekiej północy pędził do nas. Nastąpiły nasze zaślubiny z morzem. Zimne, słone fale ochrzciły nas na swoich rycerzy. Na widnokręgu ukazał się lekki dym i powoli... powoli wysunął się okręt, potem niedługo drugi i trzeci. Reperujący sieć rybak objaśnił nas kaszubską gwarą, że to polskie, że nasze. C. d. n.

NASZE PRZYGODY, ALBO WYJAZD ZA FANTAMI.

Pewnego dnia, na przerwie, przychodzi do nas jeden z pp. profesorów i proponuje wyjazd „na ochotnika” za fantami. (Przygotowywał się właśnie wielki kiermarz na rzecz budowy bursy). Ależ z przyjemnością!

— Cała klasa jak jeden mąż oświadczyła swą gotowość. (Z wyjazdem łączyła się przyjemna wycieczka w okolice).

Nie wszystkim jednak dane było tego zakosztować. Ja z drugim kolegą dostaliśmy do przetrząśnięcia rodzinne okolice Łoniowa z przyległościami. Wyjazd miał nastąpić nazajurz punkt o siódmej. (Oczywiście rano!) No i skończone! W domu już zgóry zapowiadam, żeby mię koniecznie na czas ściągnęli. Szkodaby było omi-

nać takiej okazji. (A trzeba wszystkim wiedzieć, że mam chwalebny zwyczaj wstawać o ile można — najpóźniej).

Nazajutrz, jak zwykle, nawet nie zdążyłem zjeść śniadania, a już musiałem gnać na stanowisko, (koło gimnazjum) gdzie miała nadejść podwoda.

Czekamy więc (towarzysz też w końcu nadciągnął) z niecierpliwością, żywo omawiając plan przyszłego naszego działania. W końcu temat wyczerpał się już a naszej podwody ani śladu.

Zaczął nas ogarniać strach. A jak nie przyjedzie? Trzeba będzie iść do klasy, ale tylko chyba poto, żeby oberwać choćby na ostatniej lekcji kołka. Bo nawet na dwóję trzeba coś umieć. Ale my? Myśmy przecież na ten wyjazd tak liczyli!

Nareszcie, po 4 godzinach, długich jak wiek, ale co ja mówię, takich długich jak język gadatliwej kobiety, zajeżdża podwoda.

Nie patrzymy nawet jak wygląda ekwipaż, ani nie słuchamy co nam człeczyna przedkłada o popasie, siadamy i ruszamy jak wicher — co godzina — słup (telefoniczny).

Sama podróż—to proza najprostsza w świecie, (A nasi czytelnicy lubią podobno tylko poezję?) więc nic o niej nie piszę.

Po przybyciu do pierwszego etapu naszej podróży Łoniowa, ruszamy kołatać do wrót. Od chałupy, do chałupy ciapiemy ze spokojem, jak boćki. W każdej chałupie głosimy, że najchętniej są widziane przez nas wszelkie żyjące istoty, w ostateczności — złote polskie.

Na nic jednak były nasze wymowne gesty i przedkładania. Przeważnie (te głupie kury) uciekały przerażone ta daleko, że nawet donośne nawoływania gospoś nie były w stanie ich zwabić. (Czy nie były w zмовie z gospodyniami, tego nie mogę dowieść). A ze złotym polskim — to chyba każdy z bólem się rozstaje. Czasem to i gorące słowa popłynęły za nami.

Koniec końcem, jakoś już pod sam wieczór, ujrzał nasz spory kojec parę kur.

Noc, że to ojczyście strony, spędził każdy pod swoją strzechą.

Nazajutrz znowu ta sama włóczęga po okolicznych wsiach. Tu to nawet bardzo „życzliwe przyjęcia“ nas czekały ze strony niedorostków, biorących nas — no ja sam nie zgadnę za kogo. Parła nas jednak bez przerwy naprzód chęć zebrania jak najwięcej fantów.

Nasz kojec ruchem postępowym ciągle się powiększał.

Powrót nasz odbył się triumfalnie przy odgłosach orkiestry w kojcu.

J. Z.

KRONIKA GIMNAZJALNA.

Dnia 21 grudnia 1929 r. obchodziły drużyny harcerskie, gimnazjalne Imieniny swego Opiekuna p. prof. T. Hadama. Nastrój był bardzo miły. Złożono laurkę z powinszowaniami od obu drużyn, za które solenizant podziękował, życząc organizacji harcerskiej pomyślnego rozwoju. Uroczystość zakończyło gromkie „Czuwaj“.

„Jasełka”. Dnia 17 i 19 stycznia b. r. zostały odegrane tradycyjne „Jasełka”. Wystawiła je klasa siódma ze współudziałem uczenic Seminarjum Nauczycielskiego. Kierownictwo i opieka spoczywała w rękach pana prof. Pilla. Powodzenie dopisywało, o czym może w zupełności zaświadczyć szkatułka wypełniona po brzegi pieniędzmi. Cóż za cel, niejeden ciekawski zapytał. Wycieczka — odpowiadało mu się lakonicznie, celowo nie tłumacząc mu bliżej, że ona np. jest połączona z przeciągłym ziewaniem po śnie na twardej ławce wagonowej lub z pęknięciem krzyża, jak się to często wycieczkowiczom przytrafia, czy też zdaje. Ostatecznie, zapytawszy się ku dusznemu zadowoleniu o cel imprezy, przechodził gość obok cerberów groźnie „z pod oka” nań patrzących na salę, gdzie zaraz porwany został przez siódmaka i we właściwym miejscu usadowiony. Wtem uderza dzwonek; sąsiad do sąsiada się zwraca i powiada: „pierwszy—jeszcze upłynie kawał czasu nim będzie trzeci!” Publiczność się niecierpliwi, więc na zaspokojenie głodu jej wyobraźni rzucono z za kulis drugi dzwonek i wkrótce uderza ostatni na sali staje się cicho i przedstawienie się rozpoczyna. Śpiewają pasterze głosami tworzącymi dokładnie skalę tonów między grubym basem, a cienkim dyszkantem. Nic w tem zresztą dziwnego; pasterze byli grubi i ciency, to też i śpiewali po swojemu, jak na pasterzy przystało.

Zawitali hurmem do Betlejem i złożyli dary przeróżne, tylko ostatni, nieborak nic nie ofiarował, ale za to „maluśką kolendeczkę ku rozweseleniu” na skrzypeczkach wyciął. Wkrótce runął „krakowiak”, ale taki zadzierżysty, że tylko rozlegały się uderzenia obcasów o podłogę, a gdy skrzyпки różniej zacięły, to przez scenę przewijał się tęczy korowód mieniący się wstążkami i pawimi piórami u czapek. Król Herod czegoś dziwnie był dumny i co chwila z ust jego padały srogie rozkazy, które na jego dygnitarzach zrobiły tak przygnębiające wrażenie, że idąc zapominali nawet zachować należyta sztywność w postawie.

Należy się również uznanie Matce Boskiej, aniołowi, pięknie kolendę śpiewającemu, diabłom, heroldowi z „przejęciem” podnoszącemu rękę, no i „kostusi”, na której widok dzieci z trwogą odwracały główki. Nakoniec skrzyпки uderzyły w ton mazura, pary ruszyły z miejsca rażno i ogniście, kończąc tem „Jasełka”. Publiczność jak można było widzieć, wyniosła wrażenie bardzo miłe, o czym szczere oklaski i rozpromienione twarze mówiły.

W dwie ostatnie soboty t. z. dn. 11 i 18 b. m. wygłoszone zostały w sali gimnazjum dwa popularne odczyty Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pierwszy omawiał znaczenie witamin w życiu człowieka i dawał słuchaczowi sporo wskazówek praktycznych, a drugi obrazował twórczość Jacka Malcezwskiego, jako malarza duszy polskiej w okresie niewoli. Odczyt wygłoszony był wytwornym stylem i sprawił na publiczności dodatnie wrażenie. Należy przy tem zrobić spostrzeżenie, że społeczeństwo sandomierskie, nie wyłączając młodzieży szkolnej, rzeczami o tak wielkiej wartości życiowej tak mało się interesuje.

Cena pojedynczego numeru wynosi 30 groszy.

Redakcja:

SAMSONOWICZ JULJAN ucz. kl. VII, PIĘTOWSKA J. kurs IV.
i CZERWIŃSKI EDMUND ucz. kl. VII.

Opiekunowie pisma:

prof. M. ZYSÓWNA i prof. L. DOMAGALINA.

ODBITO W DIECEZJALNYM ZAKŁADZIE GRAFICZNO-DRUKARSKIM W SANDOMIERZU.



REDAGOWANE PRZEZ UCZNIÓW PAŃSTWOWEGO GIMNAZJUM
ZE WSPÓŁUDZIAŁEM UCZENIC PAŃSTWOWEGO SEMINARJUM.

WIELKI POST.

Z ciężkiego snu zimowego budzi się ziemia, przez szereg miesięcy okryta białym płaszczem śniegowym, drzemiąca w okowach lodowych, kołysana pieniem północnych wichrów...

Pod promieniami wiosennego słońca topnieją lody, wzbierają burzliwe rzeki, na szerokich łanach ukazuje się zielona ruń. Za chwilę zaczną się zielenić i stroić i drzewa.

Wiosna! Po pozornej śmierci ziemi zaczyna się na niej z tryumfem nowe życie, bujne, piękne.

A z tym tryumfem życia nad śmiercią, słońca wiosennego nad ciemnością i chłodem zimy — zbiega się Wielki Post, ta walka i zwycięstwo nad ciałem, to przygotowanie do Zmartwychwstania.

* * *

Jeszcze nie zniknęły i nie zdążyły rozpląnąć się w bezmiarze eteru krzykliwe dźwięki jazzowych muzyk, a organ zagrział na smutną, poważną, potęgą swoją przyjmującą nutę.

Przybrane, tonące w świetle lamp sale zamieniły tchnące spokojem, ciężkie mury Katedry. Wysoko umieszczone okna rzucają fantastyczne półcienie i smugi światła...

Rozkołysany modlitwą, w kornej postawie szary tłum. Szept pacierzy zlewa się w jeden ogólny, potężny choć głuchy, błagalny głos, który wznosi się wyżej., wyżej... swoją potęgą przebija mur sklepienia, dąży i znika u tronu Stwórcy.

Tam pod ołtarzem, biała postać kapłana, skąpana w promieniach słonecznych, sypie proch na pochylone głowy.

Wielki Duch Kościoła, ogarniający cały świat i wszystkie wieki, sięga pamięcią aż w tę chwilę co spowita zosłą tajemnicą dla umysłu ludzkiego — w mroki nicości.

Żiz.

Czy rozbiory wpłynęły na rozwój literatury polskiej?

Trzeci rozbiór Polski w r. 1795 pociąga za sobą zupełny przewrót w stosunkach politycznych i społecznych naszego narodu: utrata samodzielności politycznej, podział kraju na trzy zamknięte dla siebie, dzielnice, podlegające innym wpływom i inaczej administrowane. Ale to wszystko nie sprowadza bynajmniej stanowczego przełomu, ani przeobrażenia w rozwoju naszej literatury. Ogólny kierunek poezji t. zw. klasycyzm francuski (przyjęty z czasów stanisławowskich) pozostaje niezmienny. Można by powiedzieć, że pomimo gwałtownych przewrotów politycznych w zakresie literatury trwa dalszy ciąg tego, co zaczęło się w dobie stanisławowskiej. Wszakże z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że poezja ówczesna nie zmieniając zasadniczego kierunku i nie opuszczając utartych torów wchodzi jednak w odmienne stadium rozwoju.

Klasycyzm francuski, występujący na widownię w okresie stanisławowskim, zdobył sobie odrazu uznanie po zdziczałej literaturze saskiej świeżością pełną żywotności, tak przystosowanej do ówczesnych potrzeb i pomimo swej jednostronności podniósł poezję z poprzedniego upadku, wlał w nią nowe życie i doprowadził do wcale świetnego rozwoju. To mało — on stał się zasadą powszechnie uznaną, nawet teoretycznie roztrząsaną. Teraz jednak zaczyna i on się przeżywać, upadać na sile i tracić grunt pod nogami.

Bowiem to, co było w nim ujemnego i fałszywego, wychodzi na jaw coraz wyraźniej i jaskrawiej.

Prócz tego jednak naturalnego procesu przeżywania się powstają jeszcze inne okoliczności i czynniki, które wpływają na zmianę w dążnościach poezji i prowadzą jej rozwój w nieco odmiennym, niż poprzedni, kierunku.

Poezja doby stanisławowskiej posiadała trzy wybitne cechy: klasyczną, dworską i reformatorską pod względem wyobrażeń religijnych, politycznych i społecznych. Dwie pierwsze cechy: klasyczna i dworska utrzymują się w dalszym ciągu w czasach porozbiorowych i Ks. Warszawskiego bez wyraźnej zmiany. Wprawdzie wskutek ostatniego rozbioru, traci poezja nasza środowisko swego rozwoju w duchu klasyczno-dworskim t. zn. dwór króla St. Augusta Poniatowskiego w Warszawie, to jednak przygarnięta przez dwory magnackie jak: Czartoryskich w Puławach, częściowo Potockich w Tulczynie i innych prowadzi dalsze życie; ponadto w samej Warszawie powstają jakkolwiek nieco później salony literackie, które również utrzymują nadal tradycje francuskiej szkoły klasycznej. Tak więc poezja czasów porozbiorowych i Ks. Warszawskiego jest jak dawniej klasyczną i dworską. Jeżeli jednak da się zauważyć jakąś zmianę nazewnątrz w tych czasach, to przyczynę tego należy przypisać wyczerpywaniu się sił żywotnych klasycyzmu.

W jednym jedynie tylko kierunku możnaby zauważyć jakiś postęp t. j. co do technicznego wydoskonalenia: w wykończeniu formy. Jednak płodność pisarska tych czasów jest niewielka a nawet, jeśli się dobrze przyjrzeć, bardzo skąpa. Przez szeregi lat wydają mało co, rzadko kiedy porywają się na rzeczy większe, a wtedy mordują lata całe, aby w niczem nie uchybić przepisom boalowskim. Kajetan Koźmian pracuje na „Ziemiaństwie” dwadzieścia kilka lat, Wężyk pisze i przerabia poemat „Okolice Krakowa” 11 lat, Ludwik Osiński w ciągu całego swego zawodu literackiego zdobywa się na garstkę wierszy i parę przekładów dramatycznych. Zatraca się indywidualność poszczególnych pisarzy. Lubo to nie odnosi się do wszystkich poetów, to jednak jest zjawiskiem nader charakterystycznym.

Zjawiskiem godnem uwagi jest to, że ci, którzy wylamywali się z pod ogólnie przyjętych prawideł, odznaczają się większą płodnością, samodzielnością i ruchliwością. (Niemcewicz).

Co do dążeń reformatorskich, to na tem polu dokonywują się częściowo znaczne zmiany. Najważniejszą jest ta, że prąd racjonalistyczny, nieprzyjazny wierze i religji, traci swą dawną siłę i ustępuje dążeniom religijnym, obejmującym coraz bardziej poezję. Pierwiastek więc religijny odgrywa w tych czasach dość wybitną rolę w poezji i nadaje jej specjalny charakter. Że to było wpływem ciężkich katastrof politycznych, to nie ulega wątpliwości, jakkolwiek nie bez pewnego wpływu i zachodu.

Również i dążeń polityczne i społeczne, przejęte z czasów stanisławowskich, utrzymują się nadal. Wskutek jednak zmiany warunków politycznych po rozbiorze, uległy pewnego rodzaju zmodyfikowaniu. Przeradzają się mianowicie w tendencję patriotyczną. Jakkolwiek ta już w okresie sejmu czteroletniego występuje na widownię, to jednak posiada charakter jakby praktyczny, chce naprawiać istniejące stosunki. Teraz zaś po utracie bytu politycznego tendencja ta patriotyczna przybiera charakter bardziej ogólny, idealny.

Zmierza do utrzymania ducha narodowego, wzmocnienia wiary w lepszą przyszłość, a na dnie jej leży pragnienie odzyskania niepodległości. Z tem łączy się zwrot ku przeszłości narodowej, aby ocalić tradycję ojczystą i wiarę w siebie jak i również ku przyszłości.

Nowy ten pierwiastek narodowo - polityczny łączy się często z pierwiastkiem religijnym i nadaje ówczesnej poezji wybitną barwę, różną od stanisławowskiej.

Jednak choć klasycyzm został zmodyfikowany, to jednak musiał zginąć, mimo starań kilku zaciętych klasyków, aby ten prąd utrzymać, i ulec wkońcu nowemu kierunkowi, zwanemu romantyzmem. c. d. n.

„Jego wiosna”.

Marzło jeszcze wszystko, ale w powietrzu czuć było wiosnę— z za gór i mórz przedzierającą się wytrwale wskroś beznadziejną szarugę, jak czasem przez zamknięte okiennice wymarłego domu przenika światło poranku w mroczne, zatęchłe pokoje. Kiedy niekiedy od rzeki powiał wiatr tak ciepły i rozmarzający, że niejednemu zakręciło się w głowie, jakby kielich starego węgryna wychylił. W postrzępionych, siwych chmurach błysnęło nagle

słońce tak jasne i promienne, że mimowoli wyprostowały się przygarbione plecy i pochylone, wilgotne gałęzie rozjaśniały szare twarze. Wąską ścieżyną, która, niby wstążka brunatna, snuła się wśród wiklin nadrzecznych, szło biedne, bose chłopię. Wychudły, w łachmanach podniósł główkę ku słońcu i rozchylił usta w bolesnym uśmiechu. Krucze włosięta, okalające buzię, lśniły w słońcu, dodając dziecięciu jakiegoś dziwnego uroku. Gdzieś w wiklinie zanuciło ptaszę. Chłopcu zdawało się, że ktoś zawołał go po imieniu: „Na - tek!”, zawrócił więc w tę stronę, skąd go głos doszedł. Na kołyszącej się gałązce siedział ptaszek. Natek zbliżył się doń, ale nie spłoszył wiosennego śpiewaka. Usiadł chłopczyk pod krzakiem i, zapatrzony w słońce, marzył... Przypominał sobie straszną zimę, gdy wędrował od chaty — do chaty i szukał wsparcia... ale nie znalazł... Ludzie nie rozumieją nędzy. A ptaszek nucił... nucił... Natkowi było w tej chwili dobrze, nie czuł głodu, chociaż nic nie jadł, nie miał pragnienia, choć usta spieczone gorączką. Jakby życie zegnało go powitaniem wiosny; jakby niewidzialnie matka wstała z grobu i tuliła jego sieroctwo; jakby wiatr wiosenny przypiął mu skrzydła, a Bóg dobry ulitował się nad jego dolą i dolał, choć na chwilę, uzdrowczego balsamu nadziei w rozpacz i smutku pełne, chore piersi jego. Mijały chwile, jak fala za falą... Złote godziny dnia wiosennego przetapiały się zwolna w ametystowy naszyjnik wczesnego zmierzchu. Tymczasem Natek trwał w miłym pół - uśpieniu. Od rzeki powiał znów wiatr. Zapach kwiatów, które się jeszcze całkowicie nie narodziły — mieszał się z wonią gnijących liści zeszłorocznych. Wikliny kołysały się... chwiały, to znów prężyły... Równina zaszumiała miłosiernym szeptem natury. Wieczór, melancholijny, blady młodzian, o księżycowych oczach i popielato-srebrnych włosach, ubrany w staroświecki frak fioletowy z obłoczną pianą żabotu, skrząc opalem na serdecznym palcu, skłonił się z brzękiem nieodłącznej gitary przed dziewicą nocą, która we wspaniałej sukni dżetowej, lśniacej cekinami gwiazd, z pękiem maków u piersi i z diamentową łuną w kruczych włosach, z twarzą — omgloną tajemniczym uśmiechem, poczęła zstępować wolno po marmurowych schodach marzenia. A dziecię, mały Natek, przytulony do czarnej ziemi rozdrżanej szaleńcem wiosny — spał cicho... Zbudził się... Łagodny wiatr strzępił kudłate obłoczki, a na wschodzie wstawiała już świetlista zorza, zrazu seledynowa, potem różowa, wreszcie złocista, zwiastując, że zbliża się dzień.

Natek uśmiechnął się radośnie, przytulił się bardziej do wilgotnej, chłodnej ziemi, objął skrawek jej wychudłemi rączynami i ucałował ze czcią. Najlepiej mu było wśród natury, wszak był jej małą cząsteczką, wśród ludzi — źle się czuł. — Ostatni raz spojrzęło czarnowłose chłopię w dalekie błękity. W przestworzach tańczyło powietrze z pyłem, zniżęło się do ziemi, całowało ją i znów się wzbijało... W ten poranek, czarowny poranek, kiedy świat był, niby jeden olbrzymi, jasny promień, pachnący weselem i nadzieją, a różowe obłoki, ni to wstydlivy rumieniec młodego szczęścia, niosły się po niebios błękitach, wyrwała się z wychudłego ciała — duszyczka czysta Natka — i uleciała do nieba. A z tronu wysokiego przypatrywał się wszystkiemu — Wszehmocny — On! Patrzył na szal wiosny, na rozdygotaną ziemię, na pręty wikliny, wijące się w rozkoszy, na drganie woni dalekich... Patrzył wzrokiem, który widział wszystko i wie, że jedno — jest wszystkim, i wszystko — jest jednym: radość — i smutek, cierpienie, rozkosz — i męka, wiosna — i śmierć; — że wszystkiemu jeden początek i koniec, jedno źródło — i ujście... Radośnie uśmiechał się do spieszącej ku niemu duszy Natka.

„Tęsknota”.

NAD NASZEM MORZEM.

(dokończenie).

Następnego dnia, po nocy spędzonej w domu P. T. K. w Pucku, wyruszamy na sam cypel półwyspu. Dzień nie zapowiada się być pięknym. Raz wraz wełniaste chmury zaciągają horyzont i skrywają słońce a z nad morza hen! wdali podnoszą się jasne tumany oparów. Krajobraz półwyspu prawie nie zmienia się. Szpilkowy, karłowaty las, jedynie miejscami okazalszy, piaszczyste wydmy i przysiadłe na nich nieliczne osady — to wszystko. Jakże jednak piękne w obramowaniu sino-niebieskiej, groźnej toni.—

Po drodze mijamy gęsto letników. Co chwila jakieś miłe osóбки, stojąc zdala wśród drzew, powiewają chusteczkami ku przepelnionym oknom wagonów. Zwabiło ich pięko ojczystego morza i jego wybrzeża. Z tego są oczywiście zadowolone pensjonaty Orłowa i Hallerowa a nawet ubogie domki rybackie Jastarni. Tej Jastarni, znanej z powieści Gruszeckiego. Oczywiście

wzbudza w nas dlatego ogromne zaciekawienie. Rozrzucana po prawej stronie toru, tonie wprost w sypkim piachu. Nieduże, białe chaty są pokryte deskami. Wokoło suszą się oibrzymie siecie.

Pociąg biegnie wciąż lasem. Nareszcie ukazuje się stacja. Heelll! oznajmia przeciągły głos konduktora. Wysiadamy i ruszamy, tonąc po kostki w piachu, do osady tej samej nazwy. Zdaleka już czerwienieje nieduża protestancka kircha. Osada ciągnie się po obu stronach piaszczystej ulicy, wysadzonej gęsto drzewami liściastymi. Domy są prawie wszystkie jednakowe. Białe, murywane z czarno malowanym belkowaniem. (Jest to t. zw. mur pruski). Front tworzą boczne ściany. Każdy dom — to malutki pensjonat. Główną potrawą jest, jak to widać z wywieszonych jadłospisów, — ryba. Na twardo, na miękko, na sucho i jak kto jeszcze chce. Nie zatrzymujemy się wcale. Droga prowadzi znów lasem. Jest on tutaj ogrodzony i bardzo pilnie strzeżony. Boć to przecież żołnierz do walki z morzem. Ale oto mała polanka i przed nami ukazuje się okrągła, wysoka latarnia morska. Wydała mi się być niższą od naszej Bramy. Szkoda tylko, że nie mogliśmy obejrzeć jej wewnątrz. Niektórzy wynagradzamy sobie to wdrapaniem się na chwiejący się daszek jakiegoś obserwatorium. Piękny widok roztaczał się stąd. Wokoło jak okiem sięgnąć — jedna ruchliwa płaszczyzna, zlewająca się na widnokręgu z pochmurnem niebem. Jedyne tylko w tyle wyrzynał się zielonoszary pas półwyspu, a na nim jaśniejsza plama osady Helu i przytulony obok malutki port rybacki. Przed nami u stóp — jasna plama plaży i barwne postacie kąpiących się. Jednak silny odmorski wiatr i złowrogo trzeszczący daszek zganiają szybko śmiałków.—

Pociągnęliśmy dalej — na plażę. Niebo od rana dziwnie niespokojne teraz tak się zaciągnęło chmurami, że tylko czasami przedzierał się złoty blask i ożywiał martwy piasek. Zimny wiatr pędził pieniającą się falę. To było trochę za chłodno dla nas na kąpiel. Jednak zdjęcie zrobiliśmy w kostjumach. Kilku śmiałków wynajęło sobie łódź i wypłynęli na morze. Łódź jednak podrzucona silnie falami nie bardzo poddawała się woli niedoświadczonych żeglarzy. Rychło wrócili więc do brzegu.

W powrotnej drodze do pociągu poszliśmy w kilku obejrzeć port rybacki Helu. Odcięty od morza betonową tamą, posiada kształt trójkąta. Podstawą jest brzeg, wierzchołek wrzyna się w morze. W wierzchołku mieści się wjazd. W tej chwili było tam parę żeglówek i motorówek a zdala nadpływała jeszcze

jedna motorówka. Widok jej załogi wywołał w nas uśmiech. Oto pośrodku łodzi stał starszy rybak, trzymając się niedużego masztu, zaś malutki może sześćioletni chłopczyk dzierżył rączyną ster. Będzie jak ojciec rybakiem.

Przed wieczorem wróciliśmy do Pucka. Zajęci morzem teraz dopiero mieliśmy sposobność obejrzeć chociaż trochę miasto i jego ludność. Miasto podnosi się i rozbudowuje, stając się drugim centrum morskiem po Gdyni. Starsze pokolenie słabo mówi po polsku. Zato dzieci popisują się czystą mową rodzinną. Szczególnie dziewczynki. Gdy jeden chłopczyk odezwał się po niemiecku zaraz go wyśmiały. W szkole uczą się również i języka niemieckiego.

Nazajutrz skoro świt pożegnaliśmy Puck i ruszyli do Gdyni. Pociąg biegnie wzdłuż niewidocznego brzegu morskiego. Z prawej strony ciągnie się poszarpany i porośły miejscami lasem stok opadającej ku morzu wyżyny. Okolicę rozweselają domki, budowane z białej cegły. Wkrótce ukazuje się biały dworzec Gdyni. Natychmiast wyruszamy do portu „na ścieżki,” byle prędzej. Port powstał z płytszej części morza, która podzielona na części betonowymi tamami (najpierw są one z gęsto bitych słupów), zostaje w jednych miejscach pogłębianą, w drugich zasypywana. Port cały ma składać się z portu wojennego, handlowego, pasażerskiego i wkońcu rybackiego.

W porcie handlowym wre praca nad dokończeniem obmurowania brzegu. Do tego celu służą olbrzymie, betonowe, wewnątrz puste sześciiany, które przyholowane na miejsce i odpowiednio wypełnione tworzą solidny brzeg. Na przeciwległym brzegu widać pasiastą łuszczarnię ryżu. Jedyne przedsiębiorstwo w rękach żydowskich. Tuż obok olbrzymi dźwig całymi odrazu wagonami załadowuje węglem statki. Jest on urządzony w ten sposób. Na żelaznym rusztowaniu wisi wysoko, elektrycznością poruszany wagonik. Od niego zwiesza się platforma, na którą zabiera cały wagon i podjechawszy z nim nad okręt, wysypuje zawartość w otwarty pokład.

Dzięki uprzejmości kapitana „Warty” mieliśmy piękną sposobność obejrzenia tego większego okrętu polskiego. Nie jest on ani tak duży, ani nowy. Za młoda jest jeszcze nasza potęga morska. Ale przyjdzie czas, kiedy już nie będziemy potrzebowali kupować używanych okrętów. Na pamiątkę zrobiliśmy sobie dwa zdjęcia. W porcie pasażerskim olbrzymia pogłębiarka pracowała, pogłę-

biając jedną część a zasypując drugą. Chłopcy i starsi z siatkami w ręku czatowali u wylotu rury na cenny bursztyn.

Wszędzie, gdzie się było obejrzeć, wrzała praca. I to tempo w tej pracy nappełniało radością, że nareszcie po tylu wiekach, znaczenie morza w życiu ekonomicznem Polski jest przez naród cały rozumiane.

*

*

Odjeżdżając, długo jeszcze oglądaliśmy się na wrzący pracą port, na miasto, składające się jeszcze w połowie z olbrzymich kamienic i w połowie z chat krytych słomą. I tu także znać było tempo.

Mignęło jeszcze raz w dali siwe morze, jakby prosząc o pamięć o sobie i wszystko zniknęło.

Żegnaj nam nasze, ukochane morze!

Tyś w nas wszczepiło miłość ku twej fali.

A Ty na niebie wiekuisty Boże,

Patrz na przysięgi, któreśmy mu dali.

ZABAWA.

Leci przez świat beztroska piosenka wśród korowodów barwnych masek.

Karnawał... karnawał...

Dźwięk tego słowa porywa tłumy. Zda się wszystko ulega jego urokowi.

*

*

*

Ze wspaniałością, na jaką tylko stać ludzkość przybrana sala; jasne światła bledną pod kolorowemi abażurami i sączą wokół siebie tęczowe barwy. Brzmi muzyka — wre taniec. Po śliskiej podłodze suną, rozkołysane w takt tanga, pary. Wśród powodzi serpentyn i festonów zjawiają się i nikną coraz to nowe i nowe postacie. Obszerna sala ledwo może pomieścić rozbawioną młodzież.

Chociaż zabawa stosunkowo późno zaczęła się i miała trwać jedynie do godziny jedenastej i jakkolwiek muzyka stosowała przerażająco długie przerwy, to jednak dzięki ofiarności i sprytowi kolegów uhawiono się aż po same uszy.

Bo czemuż uczeń i do tego sandomierski nie zaradzi!

Muzyka nakazuje długi i niepotrzebny spoczynek, a my wysyłamy swoich muzyków i ci rzną nie gorzej od swych leniwych poprzedników.

„Władza” nakazała koniec o jedenastej, ale jej reprezentant na sali daje się ubłagać naszymi prośbami. Za ten to wspa-
niałomyślny czyn zostaje przez młodzież z zapalem podrzucony aż pod sufit.

Pisałem, że muzyka grała zachwycająco, a co ważniejsze prawie bez przerw, więc tańce szły za tańcami.

Dumny, tchnący spokojem i powagą wieków, wykwintny polonez obok również starego, jednak żywego jak płomień i krzeszącego skry z podkówek mazura, drepca, niby swojska gosposia raz, dwa, trzy, raz dwa trzy... polka obok posuwistego salonowca walca, prosty, jak wichur szybki i porywający oberek obok modnych foxów, schimmy etc...

Nie brakowało też i wesołych momentów. Niechcący byłem świadkiem rozmowy dwóch panów, którzy noszą jeszcze srebro na kołnierzach:

„Wiesz co! tańczyłem walca z czwartokursistką. Spytała mię w ile pa tańczę! Myślę sobie co u licha za pa? — chyba chodzi o to w ile par, więc walę w dziesięć, piętnaście, zresztą w ile pani chce...”

Do podniesienia i tak miłego, swojskiego nastroju przyczynił się w wielkiej mierze tani i obficie zaopatrzone bufet.

Zabawa udała się.

Żiz.

KRONIKA GIMNAZJALNA.

Dn. 2 marca b. r. odbyło się, z udziałem przedstawicieli Koła Przyjaciół Harcer. drużyn żeńskich i męskich, przyrzeczenie harcerskie. Najpodnioslejszą chwilą tej uroczystości była ta, gdy chłopiec, złożywszy rękę na sztandarze, bez cienia obawy przed przyjmowanymi na się obowiązkami, jędrnie i jasno przyrzekał, „służyć wiernie Bogu i Ojczyźnie, nieść chętną pomoc bliźnim i być posłusznym prawu harcerskiemu”. Słuchało się tych zapewnień z uczuciem dumy, bo przez takie akty dokonywane się przeobrażenie na lepsze ducha młodzieży i przekuwa charakter narodowy na gatunek twardy i mocny.

19 marca 1930. Imieniny Marszałka J. Piłsudskiego obchodzono w naszym mieście, jak zwykle uroczystie. Po Mszy św. odbyła się na rynku

defilada wojska, oddziałów p. w., drużyn harcerskich i straży. Przed wieczorem zaś w gmachu gimnazjalnym odbyła się akademja ku czci Solenizanta. Słowo wstępne wygłosił p. pr. Hadam, a dalsze części programu wypełnione zostały występem chóru i naszego (własnego!) zespołu smyczkowego. W wieczór zaś odbyła się akademja dla szerszej publiczności.

20 marca b. r. Jedną z ważniejszych chwil w życiu gimnazjum są niewątpliwie imieniny p. Dyrektora. Jest to chwila w której wychowankowie składają hołd pracy i poświęceniu nad urobieniem ich serc i umysłów. O dniu tym nie zapominają także dawni uczniowie i ślą swemu dawnemu kierownikowi wyrazy czci i szacunku. W tym roku uroczystość ta odbyła się bardzo miło, zwłaszcza że nastrój podnosił swemi produkcjami chór i orkiestra smyczkowa.

Rekolekcje. Od 2—4 kwietnia b. r. odbywały się w naszym zakładzie rekolekcje, prowadzone przez ks. profesora Pastuszkę. Należy zauważyć, że konferencje rekolekcyjne były tak zajmujące, że chętnie słuchałby każdy w nieskończoność.

Dnia 5 b. m., po rekolekcyjnym przygotowaniu przystąpił zakład do Spowiedzi i Komunii św. wielkanocnej.

Przyjęcie do Sodalicji. W tymże samym dniu Sodalicja Marjańska święciła przyjęcie nowych członków. Fakt ten przysparza szkole dobrych uczniów, a państwu i społeczeństwu zdrowych moralnie członków.

Od kilku tygodni w naszym gimnazjum odbywa się kurs harcerski dla zastępowych, pod kierownictwem hufcowego hrcm. K. Kozikowskiego. Program kursu obejmuje metodykę pracy harcerskiej, służbę samarytańską, terenoznawstwo, sygnalizację, obozownictwo i musztrę. Zainteresowanie wśród uczestników wielkie, o czem wyraźnie świadczy ich frekwencja.

ROZRYWKI.

Zagadki
i Szarady: Jestem sobie zakonnikiem
Nie rozmawiam nigdy z nikim.
Chodzę sobie w żałobie
I mieszkam w ciemnym grobie. W. W.

— — — — —
Kupiono sto sztuk drobiu za sto złotych. Kury płacono po 50 gr.,
kaczki po 5 zł., gęsi po 10 zł. Ile kupiono kur, ile kaczek, ile gęsi? W. W.

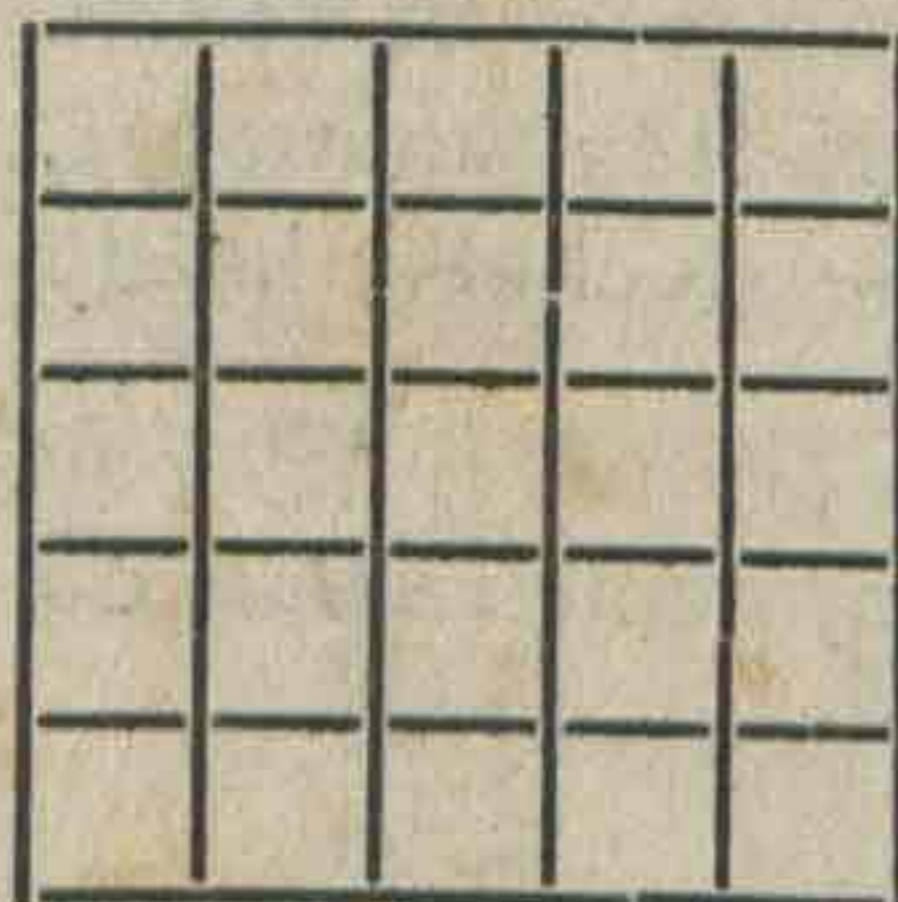
— — — — —
Pierwsze — w baroku szukajcie.
Drugie — do okna dajcie.
Trzecie — to przyimek znany
W gramatyce używany.

Całość winna być wam znana
Bo w historii, krwią jest zapisana. W. W.

Pierwsza — litera, drugie — lotne ciało
Wszystko naprawdę nigdy nie istniało.
Kipińska.

Nie jest ta konieczność
Zgadnij jednak przez grzeczność.
Wprost — kobiety jest imieniem,
Wspak — łacińskim pozdrowieniem.
Kipińska.

Ewa - ave



W kratki kwadratu wpisać odpowiednie cyfry i liczby, aby suma ich we wszystkich kierunkach wynosiła 60.

W. W.

Z okazji zbliżających się świąt wielkanocnych, życzymy
Szanownym Czytelnikom „Spójni” „Wesołego Alleluja”.

Cena pojedynczego numeru wynosi 30 groszy.

Redakcja:

SAMSONOWICZ JULJAN ucz. kl. VII, PIĘTOWSKA J. kurs IV.
i CZERWIŃSKI EDMUND ucz. kl. VII.

Opiekunowie pisma:

prof. M. ZYSÓWNA i prof. L. DOMAGALINA.

ODBITO W DIECEZJALNYM ZAKŁADZIE GRAFICZNO-DRUKARSKIM W SANDOMIERZU.